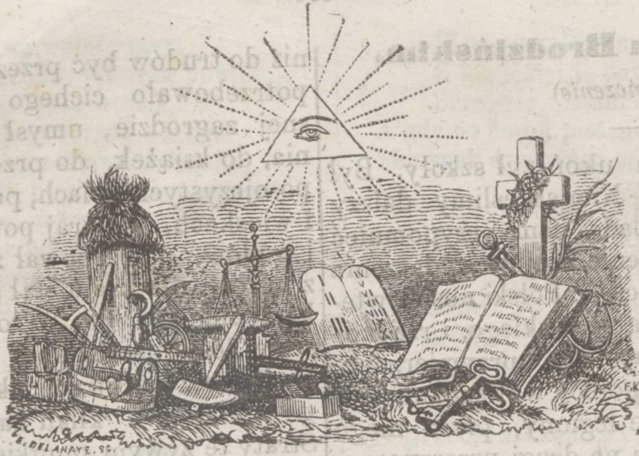
№ 52.
WARSZAWA
28 Grudnia
1862.

REDAKCYA
CZYTELNI
przy ulicy Chmielnéj
Nr 1527.



„Raczéj zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze." (Ś. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

TREŚĆ: Od Redakcyi.— O Kazimierzu Brodzińskim (dokończenie). — Jan Zamojski w Jassach. — Pierwszy dzień chrześcijaństwa w Gnieznie. —. Co to jest przeznaczenie. — Książki nowe przez J. K. Gregorowicza nakładem księgarni A. Nowoleckiego wydane.

OD REDAKCYI.

W ciągu upłynionego roku, pilnie staraliśmy się, ażeby czytelnikom tego pisma dać czytanie piękne, a pożyteczne, serdeczne, a nauczające. Staraliśmy się, ażeby czytelnik nasz, rozwijając serce i umysł, rozwijał je po bożemu i po polsku, w miłości Boga i w miłości ludzi, na chwałę wiecznej prawdy przez kościół podawanej, i na szczęście kraju całego, którego dobra każdy uczciwy człowiek przedewszystkiem pragnąć powinien. Te dwie rzeczy, mieliśmy na celu, bo bez nich niema ani chwały Boga, ani ludziom pożytku.

W żywotach świętych podawaliśmy przykłady jak ludzie w prawdzie żyjąc, za prawdę świętą ujmować się mają, i poświęcać się za nią powinni. W żywotach sławnych ludzi, którzy są chlubą i sławą naszego kraju, jak i w ustępach z dziejów Polski, mówiliśmy o miłości braterskiej, rodaków i kraju, i rozpowiadaliśmy o wypadkach, które chwałą, wielkością naznaczyły imie polaków w historyi. W opisach kraju, miast, w wiadomościach o rzemiosłach, o ekonomii politycznej, o fabrykach, o szkołach, książkach, o zdrowiu człowieka, o oczynszowaniu, jak i w powieściach i w poezyjach, zawsze mieliśmy na uwadze zachęcenie do światła, bez którego nie można być prawdziwym obywatelem swojego kraju, to jest do tego światła, które z kościoła i z ojczyzny padając na serca i rozumy, kształci je, uszlachetnia i oświeca we wszystkiem, co dla prawdziwego obywatela jest potrzebne. O to obywatelstwo dla ukochanych braci po wsiach i miastach głównie nam też idzie, o to, żeby każdy chłopek i mieszczanin przez oświecenie stał się dobrym obywatelem kraju. Czyśmy skutecznie w tem piśmie lud oświecali? czyśmy umiejętnie dla niego pracowali? nie do nas mówić o tem należy. Wspominamy tu tylko o naszych chęciach, zjakiemi ziarna oświecenia przez to pismo rozszerzaliśmy, ażeby dać zapewnienie czytelnikom, że i w przyszłym roku, a już osmym istnienia Czytelni Niedzielnej, takiemi samemi chęciami przejęci w tym samym duchu pracować będziemy. Oby Bóg dał, żeby z większym niż dotąd pożytkiem.

O Kazimierzu Brodzińskim.

(dokończenie)

—

W ośmnastym roku ukończył szkoły. Był to właśnie rok 1809. Nim skreślimy dalszy ciąg życia poety, wypada nam przypomnieć sobie, ówczesne położenie kraju i wydarzenia w nim zaszłe. Otóż, część Polski nosiła wtedy nazwę księstwa Warszawskiego, i rządzoną była przez króla Saskiego, sprzymierzonego z Napoleonem. Napoleon w Hiszpanii prowadził wojny, a nasze legiony, przez niego z jednego końca świata na drugi przerzucane, szły ochotnie zasłaniać wojsko jego piersiami w tej nadziei, że tułaczka ich i krew w dalekich stronach przelana, zbawienie własnej polskiej ojczyźnie przyniesie. Gdy w Hiszpanii Napoleonowi się nie bardzo powiodło, cesarz austryjacki korzystając z tego, wydał mu wojnę, i wodza swego z wojskiem posłał na księstwo Warszawskie, jako na kraj z Napoleonem sprzymierzony. Wtenczas to młodzież, co z legionami nie wywędrowała, z różnych prowincyi polskich, biegła na obronę kraju przeciw Austryjakom, dążąc do najechanego przez nich księstwa Warszawskiego.

Podążył i ośmnastoletni Kazimierz Brodziński z bratem swojem Andrzejem. Pomieszczono go w artyleryi, to jest przeznaczono do armat. Był on wtedy nadzwyczaj szczupły, wątłej budowy ciała, wydawał się daleko młodszy i dziecinny prawie. Widząc to zwierzchnicy jego, i wątpiąc o usposobieniu wojskowem, oddali mu dozór przy ważeniu mięsa dla żołnierzy. Czynność to była przykra i upakarzająca. Brodziński jednak przekonany, że w wojsku karność i posłuszeństwo być musi, że służbę dobru powszechnemu nie od wybierania miejsc najlepszych, i od wymawiania się od niższych kondycyi zaczynać należy, objął wyznaczone obowiązki, i spełniał je gorliwie. Wkrótce też powołano go do czynnej służby. A jak rozumiał obowiązki żołnierza, dowodzi list jego o wojskowości, który się tak zaczyna:

Gdy krew wrząca ku sławie i miłość ojczyzny,
Każe ci się poświęcić na trudy i blizny,
Niech zaraz wyższych stopni nie łudzi cię znamię,
Wstąp w szereg, niech pod bronią zaboli cię ramię.

A co pisał, uczynkiem stwierdzał. Wątłe jego ciało, zdawało się raczej do wypoczynku niż do trudów być przeznaczone. Serce tkliwe potrzebowało cichego szczęścia we własnej zagrodzie, umysł lgnął do rozmyślania, do książek, do przechadzek swobodnych po ojczystych polach, po cienistych ogrodach i wioskach, ale kraj potrzebował wtedy krwi i trudów, potrzebował żołnierzy, i śpiewak z miłości dla kraju stał się żołnierzem. Odbył kampanję r. 1809. W roku 1813 dzielił wszystkie losy nieszczęsnej do Rosyj wyprawy. Pod Berezyną utracił ukochanego brata swego Andrzeja i kilku najlepszych przyjaciół. Straty te żywym smutkiem go przejęły, przytem niknąć zaczęły nadzieje, jakie wojska nasze w Napoleonie pokładały, szczęście opuszczało widocznie tego wielkiego wojownika, ze szczęściem jak to bywa opuszczali sprzymierzeńcy i udani przyjaciele. Wycieńczona i przerzadzona garstka szeregów naszych pod wodzą księdza Józefa Poniatowskiego, choć tylokrotnie omylona w nadziejach swoich, do końca wierną pozostała. W r. 1813 pośpieszył książe Józef na równiny Lipska, gdzie śmierć bohaterską znalazł, pociągnęło i wojsko za swym uwielbionym wodzem.

Próżno się za swoimi stokrotnie ozierać,
Przedłużać pożegnanie i żale wywierać,
Trzeba iść i opuścić ukochaną ziemię,
Unieść męczarnie smutków i niedoli brzemię!

Tak pisał Brodziński, dążąc z drugiemi po nowe trudy, nowe zawody w kraj daleki, na niepewne losy.... Los tej bitwy wielu przyniósł śmierć na polu chwały, poecie zaś naszemu rok na obczyznie niewoli. Po roku dozwolił mu Bóg wrócić do swoich, ujrzyć rodzinną ziemię, której tylu towarzyszów jego już nigdy oglądać nie miało! Po powrocie z niewoli, wyszedłszy ze służby wojskowej, bawił naprzód u ciotki swojej w Krakowskiem. Tam, na nowo zbliżył się do ukochanego od dzieciństwa ludu wiejskiego; przypatrywał się obyczajom i zabawom jego, słuchał jego ochoczych pieśni i napisał potem piękną powiastkę wierszem o Wiesławie i Halinie, o dziarskim chłopaku i pięknej dziewczynie z Krakowskiego, co poznali się na weselu jednem, pokochali i pobrali wreszcie. Tyle tam uczciwości, szczerości i prawdy w tej powiastce, że każdemu spodobać się musi. Oto z niej ten kawałek, kiedy Wiesław poznaje Halinę.

Wchodzi do izby na wesołe tany
Z kubkiem od drużbów Wiesław powitany,
Potem starosta zarządca wesela,
W te słowa drużbom porady udziela.
„Jużci pierszeństwo zostawcie obcemu,
Niech idzie w tany, niech też po swojemu
Skrzypkiem zanuci, dziewoję wybierze,
Bo z obcym trzeba uczciwie i szczerze.“
I wybrał druchnę, której wdzięk uroczy
Zwrócił na siebie wędrownika oczy,
Naprzód wychodzi, przed muzyką staje
Halina w pląsach, rękę mu podaje,
Za nim się w koło młodzieńcy zebrali,
Nucą i biją w podkówki ze stali,
Wiesław się za pas ujął ręką prawą,
Zagasił wszystkich poważną postawą,
W skrzypce i basy sypnął grosza hojnie,
Ojcom za stołem, skłonił się przystojnie,
Tupnął i głowę pochylił ku ziemi,
I zaczął nucić słowy takowemi:
Niechże ja lepiej nie żyje,
Dziewcze skarby moje,
Jeżli kiedy oczki czyje
Milsze mi niż twoje.
Patrzajże mi prosto w oczy,
Bo widzi Bóg w niebie,
Że mi mało nie wyskoczy
Serduszko do ciebie!
Bierze Halinę i tak w około
Przodkując drużbom, tańczy wesoło,
A gdy ku skrzypkom znowu powróci,
Staje, i w pląsach tak dalej nuci:
Krew nie woda ludźmi włada,
Bo któż sercem rządzi,
Człowiek pragnie i układa,
A Bóg wszystko sądzi.
Halina w pląsach przed nim ucieka,
On w ręce klaszcząc, goni zdaleka,
A gdy dogoni, z ujętą wróci,
Staje, i w pląsach tak dalej nuci:
Nie uciekaj ptaszku luby
Moje sto tysięcy,
Dogonię ja mojej zguby,
Już nie puszczę więcej.
Krąży słowik w szumnym lesie,
Gałązek się czepia,
Aż dognany piórka niesie,
Gniazdeczko ulepia.
Sam teraz w pląsach, przed druchną stroni,
A ona za nim poskocznie goni,
I dogoniwszy, gdy znowu wróci,
Staje, i wpląsach, tak przed nią nuci:
Gospodarzu! nie dasz wiary,
Jak koniki płacę,
Wydałem ja twe talary,
Serce moje tracę.
Grajcie skrzypki! bo się smucę
W nieszczęśllwym stanie,
Z konikami ja powrócę
Serce się zostanie.
A gdy do nowej piosenki stanie,
Skrzypek drzemiący zakończył granie.

Byłby śpiewak wiejski pragnął życie całe spędzić na wsi i wśród chłopów, ale prace powołały go do Warszawy, gdzie odtąd stale zamieszkał. Był naprzód profesorem w szkole Pijarskiej, a potem w wyższej szkole czyli w uniwersytecie. Ożenił się w tym czasie, żonę i córkę jedynaczkę kochał całem sercem. Nie był przecie szczęśliwym, bo zdrowie miał nadwerężone trudami wojennemi i pracą, która często nie wystarczała na utrzymanie rodziny. A przytem takie serce jak jego, nie nad własną tylko zwykło cierpieć niedolą. Dla poratowania zdrowia zwiedzał obce kraje, i z tem większą tęsknotą o własnym myślał, we własnym zaś liczył grobów i smutków nie mało. Smutek jego przecież nie był uprzykrzonym ani odpychającym. Miał uśmiech życzliwy, słowa łagodne dla ludzi, wiedział że

Najbliższą jest aniołów duszą w ludzkiem ciele,
Gdy smutna ciesząc innych, udaje wesele.

Posępność i mrukowatość daleką była od tego kochającego serca. Tak robił jak innym radził w tych wierszach:

W świat suknię wdziej,
A w domu zrzuć,
Z ludźmi się śmiej,
A w kącie smuć.

Nie było goryczy w duszy jego, choć najpoczciwsze jego słowa często nie znalazły wiary, choć najlepsze chęci rozbijały się o niechęci drugich. Powtarzał sobie:

Kiedyś robił jak przystało,
Nie płacz, że się nieudało!

Wiedział, że praca zacna nigdy straconą być nie może, choćby nie zaraz przyniosła owoce. Zachęcał tedy do wytrwałości w tych pięknych słowach:

Chociaż nieskończysz, ciągle rób,
Ciebie, nie dzieło porwie grób,
Chociaż dla czynów tu krótko nas,
Czas wszystko skończy, bo ma czas.

Co nie można sobie sprawić,
Zacząć, i innym zostawić.

Żal jego nad grobami daleki był od rozpaczy. Tak kończy pieśń po pogrzebie przyjaciela napisaną:

Nic nie idzie do zatraty,
Co przed naszem okiem ginie,
Z drzewa opadają kwiaty,
Z drzewa owoc się wywinie.
Żółtym liściem wiatr powieje,
Bo go życie opuściło,
Ach! nie życie w nim więdnieje,
Ale miejsce kędy było.
Więc kto ludzką godność ceni,
Z męztwem żal pojednać trzeba,
Do grobowca zasmuceni,
Lecz wesoło patrzmy w nieba.

Zasmucony tedy oglądał grobowce chwały i minionej świetności w Krakowie. Stąpał po nich z głową pochyloną, przypatrywał im się łzawemi oczami, w duszy jego snuły się obrazy szczęśliwej przeszłości, pytał nieba o nadzieję, prosił o pociechę. Podróż tę do Krakowa odbywał na rok przed śmiercią, powrócił z niej słabszy jeszcze i z pomnożoną tęsknotą. Słabość piersiowa rozwijała się w nim coraz widoczniej, lekarze wyjazd do wód radzili. Posłuszny ich radom wyjechał r. 1835, i nie miał nawet tej pociechy, żeby na rodzinnej ziemi zakończyć życie. W powrocie z wód w Dreznie, pogorszyła się choroba jego, i tam ostatnia nadeszła chwila. Chrześcijańska dusza z pokorą i poddaniem się przyjęła wyrok boży. Słowo narzekania nie wyrwało się z ust umierającego. Ostatnią godzinę życia umiliło mu cudowne widzenie. Widział on przed sobą Zbawiciela w białej szacie, który uśmiechając się łagodnie, rękę ku niemu wyciągnął:

Kiedy wieszcz nasz dogorywał,
Przyszedł Chrystus w szacie białej
I z uśmiechem ręką wzywał
Cnotliwego do swej chwały.

Pochowany w obcej stronie w Dreznie między obcymi, na grobie jego wzniesiony kamień z tym napisem:

Kazimierzowi
Brodzińskiemu
Ziomkowi
Ur. r. 1791. Umarł 1835 r. 10 Października.

W duszy rozweselonej widokiem wiekuistej chwały z miłością spogląda na tę ziemię polską, której bóle nosił w sercu swojem, której poświęcał trudy dla lepszej nadziei, powtarzając z Hjobem:

Bojem jest życie człowieka,
Dniem najemników, dnie jego pracy,
Jako niewolnik na spoczynek czeka,
A najemnik na dzień płacy.

OBRAZKI HISTORYCZNE.

IX.

Jan Zamojski w Jassach.

—

Kraj płaski poprzeżynany wądołami i jarami za rzekami Dniestrem i Prutem, sięgający z jednej strony do gór Karpackich, z drugiej do wielkiej rzeki Dunaju i do morza Czarnego, nazywa się Mołdawią albo Multanami, kraj znowuż na zachód od Multan położony Wołoszczyzną. Obie te krainy zamieszkane przez naród mówiący jednym rumuńskim językiem, w dawnych czasach hołdowały Polsce. Panowali nad nimi książęta czyli hospodarowie, których nieraz Polacy na tronie osadzali. Ziemie Multan i Wołoszczyzny urodzajne, a smutne pełne są starych mogił zwanych Kurhanami. Lud ciemnej cery, czarnych włosów nauczył się hytrości i podstępów w srogiej niewoli i w ciągłych wojnach, jakie staczać musiał z Turkami, Tatarami i innemi narodami. Polacy osłaniali ich wiele razy od Turków, ale i sami bywali w wojnie z Wołochami. Roku 1594 Tatarzy z Krymu wkroczyli do Multan i do Polski, i paląc miasta i wsie, lud mieczem tępili. Jan Zamojski, dzielny polski hetman pociągnął na obronę najechanych ziem i tępionego ludu, i zmusił Tatarów do cofnięcia się, a potem pilnował, żeby wracając z Węgier spustoszenia w naszym kraju nierobili, co widząc Tatarowie przez ziemie tureckie do siebie powrócili. Wołoszczyzna wówczas wpadła pod panowanie Zygmunta Batorego księcia Siedmiogrodzkiego, który schwytawszy Arona hospodara Wołoskiego, zaczął rządzić tym krajem. Wystąpili przeciwko niemu Polacy, broniąc Wołochów od przywłaszczyciela i od Turków, którzy mścili się na nich za poddanie się sąsiadowi. Z niewielkim wojskiem polskiem wszedł Jan Zamojski (1595) na Multany, pobił księcia Siedmiogrodzkiego, zdobył miasta Soczawę i Chocim,

a uwolniwszy kraj ten od najezdzców, osadził na tronie Wołoskim Jeremiasza Mohiłę, który schronił się był dawniej do Polski z hospodarem Piotrem, a będąc Polsce przychylnym, zaprzysiągł podane mu warunki przez Zamojskiego, i z nim razem wjeżdzał do stołecznego miasta Multan do Jass, (1) zniszczonych wojnami i ogniem. Ludu wielkie mnóstwo wyszło na spotkanie Polaków. Dzielne było to wojsko, husarze, hufce pancernych rycerzy, wszyscy na koniach witani byli radośnie przez ugnieciony lud. Jan Zamojski pięknej postawy, w wspaniałem ubraniu, jechał na siwym koniu przybranym w tureckie bogato wysadzane siodło. Obok niego jechał hospodar Jeremiasz, a przy nim wiele panów i rycerzy wołoskich. Na dachach, murach widać było ludzi ciekawie przypatrujących się tym, których uważali za niosących im oswobodzenie i spokój. Muzyka grała, okrzyki radośne rozlegały się, a lud wybiegając z domów na wpół spalonych, rzucał pełnemi garściami kłosy i winogrona pod nogi wjeżdżających Polaków i Jeremiasza. Przed cerkwią (2) wystąpił sędziwy biskup grecki na czele duchowieństwa, i przy odgłosie pobożnych śpiewów wprowadził Jeremiasza i Zamojskiego do świątyni. Zajaśniały światła, wzniósł się pod sklepienia dym kadzideł i rozległy się poważne pienia świętego obrządku. Po modłach i wszystkich ceremoniach, Jan Zamojski wprowadzając Jeremiasza na tron, rzekł do niego te słowa:

,, Książe! oręż Polski i wola twojego narodu, na tém miejscu osadza ciebie, tenże oręż Polski, jeżeli Bóg dozwoli, osłaniać cię potrafi. Nie już tyranom barbarzyńskim, ale królowi ludu wolnego i wspaniałego hołdować będziesz. We wszystkich więc postępkach twojego rządu okazuj przyjaźń narodowi polskiemu, który swojéj krwi dla ciebie nieżałował, i szanuj wolę twego narodu, staraj się o jego szczęście i dobro.“ Jeremiasz odpowiedział, obiecując wierność i wdzięczność, a wszyscy okrzykiem okazali radość największą, bo radość jaką tylko czuć można w chwilach oswobodzenia z niewoli. Po osadzeniu Jeremiasza na tronie, poszedł Zamojski na tatarskiego hana, 70,000 jego wojska pobił pod Białogrodem i zmusił do ucieczki. Tatarowie pobici zawarli pokój, we trzy dni opuścili Multany, a han uznał nowego hospodara, i polskich granic więcej nie najeżdżać przyrzekł.

(1) Jassy nad Prutem, mają dzisiaj 32,000 mieszkańców.

(2) Wołosi są greckiego wyznania.

Pierwszy dzień chrześcijaństwa w Gnieznie.

—

Było to roku 965. Gniezno przybrało wesołą postać, tłumy ludu w świątecznych szatach otaczały poczet wojowników uzbrojonych w łuki i kołczany; uzbrojenie to lśniło bogactwem. W środku zaś pocztu jechał na pięknym koniu, w przepysznej szacie Mieczysław, wszyscy dążyli za miasto, gdzie z oddalenia kłęby kurzu zwiastowały nadjeżdżający hufiec rycerstwa.

Zaledwie dojrzano go, podniosły się wielkie okrzyki: „Otóż jedzie, jedzie księżna małżonka naszego ukochanego pana... a witajże!.. witaj nam miłościwa pani!.. bądź naszą księżną.. o! żyj nam długo, i pozostaw pamiątkę rodu drogiego dla nas... niech żyje księżna Dąbrówka!.. niech żyje!.. wołano zewsząd.“ Mieczysław wyprzedził wszystkich, i szybkim galopem zmierzał niecierpliwie ku jadącej karocy otoczonej pocztem wojowników.

Dąbrówka nie była już w pierwszej młodości, ale pełna łagodności i dobroci, która jednała jej serca ludu. Kilka kobiet chrześcijańskich składało jej dwór, zresztą cicha, pobożna, ze łzami patrzyła na tłumy cisnące się ku niej.

Nazajutrz Mieczysław, otoczony znakomitemi urzędnikami państwa i kapłanami katolickiemi, ukazał się na placu publicznym. Powaga niezwyczajna osiadła na czole jego, był w koronie i w płaszczu wspaniałym książęcym, a w ręku trzymał wielki krzyż. Lud tłoczył się w około niego, a on do niego tak przemówił:

„Dzieci moje! ludu mój kochany! Zwiastuję wam rzecz ważną o przyjęciu nowej, a prawdziwej wiary chrześcijańskiej, do której doprowadzony zostałem przez kapłanów od Boga posłanych, i małżonkę moją Dąbrówkę. Krzyż, na którym Bóg-Człowiek umęczony został dla zbawienia i wolności ludzi jest mojem godłem, i będzie godłem waszem Polacy! On

nam szczęście przyniesie, On nam da zbawienie! On zrobi z nas lud miły Bogu! Za Niego walczyć, za Niego ginąć będziecie, a On da łaskę bożą, szczęście na ziemi, bo nauczy was miłować siebie wzajemnie i wszystkie ludy i nauczy was żyć po bożemu. Gdy zostanie Polska chrześcijańską, urośnie w chwale Boskiej, i w wielkich dziełach tu na ziemi, urośnie w potęgę i sławę, jakiej dotąd nie było. Zawsze wierni Chrystusowi, zwalczycie małych i wielkich nieprzyjaciół, a z nieszczęścia i niewoli zawsze za jego pomocą dźwignąć się będziecie mogli.“

Długo jeszcze mówił Mieczysław do swego ludu, długo namawiał do nowej wiary. Kapłani zaś, którzy z Dąbrówką z Czech od ludu pobratymczego do nas przybyli, nauczali świętej wiary tak skutecznie, że lud wraz z księciem kruszył i topił dnia tego bałwany, do których się dawniej modlono, jakby do Boga, i w wielkiej liczbie chrzest święty przyjmował. Takim sposobem zostaliśmy przez ojców naszych, już tysiąc blisko lat temu chrześcijanami, a początek chrześcijaństwa był w Gnieznie, tej najdawniejszej stolicy Polski, w której teraz tylu niemców psuje i niemczy lud boży, lud polski. Odtąd Polska wierna Chrystusowi, przebyła różne szczęśliwe i smutne koleje, i przy pomocy krzyża, i tej potężnej, a wielkiej w niego wiary, doczeka się lepszej, a szczęśliwszej doli!

Co to jest przeznaczenie.

Za dawnych pogańskich czasów, przed Narodzeniem Pana naszego Jezusa Chrystusa, kiedy ludzie nie znali jeszcze świętej nauki Zbawiciela, wierzono w *ślepe przeznaczenie*. Starożytne ludy wierzyły, że przeznaczenie było to takie bożyszcze, *fatum* zwane, i że ono samowładnie rządziło nietylko światem i ludźmi, lecz nawet samem niebem. Najmędrsze i najuczeńsze wówczas narody, jakiemi byli Grecy i Rzymianie, co to takie mądre księgi pisali, i taką wielką mieli władzę nad resztą pogańskiego świata, oni sami wierzyli w to przeznaczenie, i niecofnione wyroki ślepego bożyszcza, Fatum zwanego. Ci Grecy i Rzymianie wierzyli naprzykład, że jeżeli komu przeznaczono być oszustem, złodziejem, zabójcą, zdrajcą lub niewolnikiem, to już on musiał takim zostać koniecznie, i nie mógł żadnym sposobem ani takiej hańby, ani takiej zbrodni uniknąć.

Na poparcie takich fałszów zmyślali różne straszne powieści. Gadali oni, że są ludzie, którzy jeszcze przed urodzeniem się skazywani byli na popełnienie przerażających zbrodni, i na cierpienie za to ciężkich, strasznych kar. Gadali i wierzyli, że są ludy całe przeznaczone na ohydne poniżenie i wieczną niewolę, jak Heloci u Spartanów. Gadali, że są całe społeczeństwa i ziemie, które wiecznie jakby w zaklętem kole, tylko w ciemnocie, niewoli i biedzie nieszczęśliwe życie prowadzić miały, bez nadziei wydobycia się kiedykolwiek z takiego prawdziwego piekła, samowolnie na tym tu świecie przez takie fałsze utworzonego.

A byli to prości oszuści, co tak gadali, i co w innych to wmawiali, albo sami ciemni lub przez szatana opętani, albo tacy już chytrzy, okrutni szalbierze, podżegacze, i matacze; biedne zaś ludy, jako wówczas nieoświecone jeszcze świętą wiarą i nauką Zbawiciela, wierzyły w to ślepe przeznaczenie, i w te wszystkie fałsze, i za to też przez długie wieki, aż do Narodzeuia się Chrystusa Pana ciężką niewolę cierpiały. Dziś jeszcze tam, gdzie światło wiary chrześcijańskiej nie zajaśniało, tam daleko na wschodzie, jak o to w takich Chinach, w Indyjach, znajduje się około pięćset miljonów ludzi, co nieuważają się za braci, za dzieci jednego Ojca niebieskiego. Jak bywają zwierzęta różnych ras, lepszych i gorszych, tak i oni dzielą się na tak zwane kasty: kapłanów, żołnierzy, kupców, rzemieślników, rolników i niewolników, którym pod karą śmierci i pod utratą przywilejów łączyć się z sobą w związki małżeńskie lub inne nie wolno; bo ich wiara pogańska uczy, że nie wszyscy na obraz i podobieństwo Pana Boga są stworzeni, że nie wszyscy są jednego pochodzenia, że nie jedno jest ich przeznaczenie i nie jeden cel życia. W takie fałsze i głupstwa wierzą, a stąd idzie między niemi wielka pycha jednych i wielkie poniżenie drugich.

Takie fałsze i kłamstwa pogańskie, ta wiara w ślepe przeznaczenie, tak się były pomiędzy ludźmi zakorzeniły, że nawet już po Na-

rodzeniu Zbawiciela naszego, a nawet sami chrześcijanie znaleźli się tacy, co przez ciemnotę, lenistwo, obłudę i samolubstwo opętani jedni w drugich wiarę w to ślepe przeznaczenie wmawiali. Według ich wiary to nawet zbawienie duszy od przeznaczenia zależnemby było, i bez pracy, bez usiłowania, jedynie z łaski bożej zbawionymby być można. Wszystko to dla tego tylko wmawiano, aby się człowiek o poprawę nie starał, aby z grzechów i nałogow nie wychodził; dla bliźnich i dla ogółu nic dobrego nie czynił. Do takiego życia doprowadza wiara w przeznaczenie, i dla tego jest ona fałszem, a nie żadną wiarą, lub nauką. Fałsze takie są obrazą Pana Boga, ubliżają najwyższej Jego świętej sprawiedliwości, według której tylko za prawdziwe zasługi, za uczynki dobre spodziewać się można nagrody, a za złe lub próżniackie życie kary. Słusznie też wiarę w przeznaczenie kościół nasz potępia.

Bo chociaż wiadomo, że człowiekowi w każdej dobrej sprawie pomoc Boska jest potrzebna, że się o nią, jak o każdą łaskę, pocziwem życiem starać powinien, ale żeby Pan Bóg sam miał wszystko za człowieka zrobić, to przecie być nie może. Na to właśnie Stwórca dał człowiekowi wolę, rozum, zdrowie i siłę, aby za ich pomocą wszelkiego dobra sam dorabiał się. Z ludzkim nawet rozsądkiem, a tembardziej z mądrością Najwyższą byłoby niezgodne, żeby jeden człowick miał być stworzony zbrodniarzem, a drugi świętym; jeden wybranym bez żadnej zasługi, a drugi potępionym bez winy. Ale jak człowiek myśleć i zastanawiać się nie chce, największe brednie przyjąć gotów za prawdę.

A więc kiedy nam co dolega, lub co złego nas spotka, zamiast mówić: „a to dopuszczenie Boże! a to już nasze takie przeznaczenie,“ lepiej się obejrzeć, wszystko należycie wymiarkować, pomyśleć dobrze, i zastanowić się, czy to złe nie wyrosło czasem z naszego lenistwa, lub ciemnoty, z naszej obojętności, albo z innego grzechu; i zaraz wziąć na rozum i na uwagę, czyby się tej biedy z pomocą bożą nie można pozbyć. Jeżeli można, to począć sobie tak jak radzi ów bogobojny człowiek w przypowieści o *skale*, która podróżnym zawaliła drogę, tak, iż ani w lewo, ani w prawo przejść nie mogli, a nikt jej z miejsca ruszyć nie podołał. I nie jeden z podróżnych chciał tę skałę z drogi odwalić, nie jeden się tam nawysilał, napracował, a napróżno, bo ani jeden nie miał tyle siły. Aż dopiero, gdy się lepiej podróżni zmiarkowali, i po rozum do głowy poszli, a przy pomocy boskiej, wspólnie się naradzili, i wszyscy razem do roboty zabrali się, tak od razu usunęli skałę, i dalszą drogę odbywali w pokoju. Bo takie jest prawo boskie, że ludzie powinni żyć razem: w jedności, miłości i zgodzie, aby łatwiej opierać się mogli złemu. Bóg w przedwiecznej mądrości swej tak wszystko urządził, że każda dobra sprawa w końcu odnosi zwycięztwo i uwieńczoną zostanie, aby tylko ludzie sami sobie nieszkodzili, i dobrowolnie w moc złego i jego szatańskie sidła nieoddawali się. Święta nauka Jezusa Chrystusa tak jest prosta, jasna i czysta, że najmniejsze od niej odstąpienie, każde przekroczenie jej przepisów odrazu poznać się daje. Celem tej nauki boskiej jest uszczęśliwienie człowieka. Ażeby zaś uszczęśliwienie to między ludzi sprowadzić, nauka chrześcijańska nakazuje miłość Boga i blizniego. Kto nie obłudnie, ale prawdziwie i szczerze kocha Boga i bliźnich, kto ściśle spełnia przykazania Boskie, uczynkiem i całem swem życiem to stwierdza, iż stara się o poprawę własną, o szczęście swoje i bliźnich swych, ten dobrym jest chrześcijaninem. Obowiązkiem jest chrześcijanina starać się, aby był człowiekiem *uczciwym i szczęśliwym*, *sprawiedliwym i błogosławionym*, bo sam Bóg wlał w piersi nasze tę wielką i świętą żądzę doskonalenia się. Tę potrzebę i żądzę doskonalenia się, ciągłej poprawy, rozmaicie ludzie nazywają. Jedni powiadają, iż starają się o postęp i oświatę, drudzy, iż pragną, aby wszyscy ludzie byli cnotliwi, a tym sposobem tu na ziemi szczęśliwi, a w przyszłem życiu zbawieni. Tak więc jedni i drudzy pragną, ażebyśmy my chrześcijanie przez Zbawiciela naszego z więzów ciemności już wykupieni, i Boską Jego nauką oświeceni,— dłużej w błędach i przy uczynkach pogańskich nie zostawali, ażebyśmy uczyli się, jak to dobry chrześcijanin prawdziwemu Bogu, oraz braciom swym i ogółowi służyć powinien. Wszyscy też, to jest każdy pojedynczo, i zbiorowo wszyscy razem dążymy do tego, aby nam było lepiej. Staramy się nietylko o to, abyśmy mieli więcej ziemi,

dobytku i pieniędzy, ale staramy się także o naukę i cnoty. Chcemy lepszego nietylko dla siebie samych, ale zarazem dla wszystkich braci naszych, dla całej ojczyzny naszej. Pragniemy szczęścia własnego i bliźnich naszych, tak tu na ziemi, jak i w przyszłem wiecznem życiu.

Staramy się o to, aby było lepiej, a starając się według zasad i przykazań nauki chrześcijańskiej, wszystkiemi środkami i drogami, modlitwą i czynem, tem samem opieramy się złemu, wydzieramy się z władzy pogańskiego Fatum, nie uznajemy nad sobą mocy ślepego przeznaczenia; zarazem stajemy się prawdziwemi wyznawcami nauki Chrystusa, usiłujemy przejść na lepszą drogę życia, skruszyć grzeszne więzy zawadzające nam w pielgrzymce ziemskiej; słowem, staramy się urzeczywistnić i przyśpieszyć, aby spełniły się słowa codziennej modlitwy całego chrześcijanstwa: „Przyjdź Panie Królestwo Twoje!“

Książki nowe.

(Patrz Numer 51 Czytelni Niedzielnej.)

Janek z Bielca (Jan Kanty Gregorowicz) na wsi urodzony i wychowany, dla nauki do Warszawy zamłodu przybył, i tak ją sobie upodobał, że w niéj pozostał, i dotąd mieszka. Niemniéj jednak lud wiéjski zawsze bardzo kocha, i nad książkami dla niego pracuje. Napisał on bardzo dobrą książkę do nabożeństwa. Są w niéj modlitwy poranne i wieczorne; nabożeństwo codzienne, na święta i odpusty, w czasie mszy i nieszporów. Są litanije, modlitwy przed spowiedzią, po spowiedzi, przed kommuniją i po kommunij świętéj, a w końcu *pieśni*.

Ten sam *Janek z Bielca* wydaje teraz *Obrazki historyczne z życia świątobliwych, błogosławionych i zasłużonych krajowi cnotą, naukom, odwagą i męztwem Polaków i Polek*, nakładem księgarni A. Nowoleckiego. Obrazków tych będzie sześć książeczek; ktoby chciał kupić wszystkie, i teraz z góry za nie płacić, potrzebowałby dać tylko złp. 6 gr. 20, a kupując po jednéj, płacić trzeba za każdą po zł. 1 gr. 10. W pierwszej takiej książeczce po przemowie do nauki znajduje się naprzód w krótkości dobrze napisany żywot świętego Wojciecha Arcybiskupa Gnieznieńskiego, który pierwszy wiarę chrześcijańską do Polski przed wiekami wprowadził, i pierwszy, jako polski męczennik za tę wiarę świętą, życie swoje oddał. Do tego opisu dołączone są dwa obrazki: jeden przedstawia, jak święty Wojciech idzie z Rzymu, i stojąc na wysokiéj górze klasztornéj, z daleka spostrzega swą rodzinną ziemię. Więc jak tylko ją ujrzał, wyciąga ręce, jakby całą tę ziemię chciał przytulić do piersi, i z rozrzewnieniem przemawia: „O! moja droga i kochana ojczyzno, znowu cię oczy moje ujrzały!“ Ukląkł, zaczął się gorąco modlić, a wstawszy przeżegnał się, i znowu zawołał: “Ziemia moja rodzinna, ojczyzna kochana! błogosławię Cię w Imie Ojca, Syna i Ducha Świętego!“

Na drugim obrazku jest święty Wojciech, jak w lesie o milę pod Gdańskiem przy urządzonym tam ołtarzu Mszę świętą odprawia, a dzicy Prusacy napadają, i zabijają Go tam. Oto ostatnie słowa przez tego świętego wyrzeczone:

„Panie! Panie! odpuść im śmierć moją, bo niewiedzą, co czynią; oświeć ich rozum, a żałować będą mego męczeństwa.“

Stało się to roku 997, więc blisko dziewięćset lat temu.

Król Bolesław I Chrobry, dowiedziawszy się o śmierći świętego Wojciecha, mocno żałował, martwił sie niezmiernie, z wielką nroczystością ciało męczennika do Gniezna sprowadizł, i tam na pamiątkię kościół wystawił. Na końcu tego pięknego opisu żywota i męczęńskiéj śmierci, znajduje się hymn do *Boga rodzicy* przez samego świętego Wojciecha ułożony, a który niegdyś przodkowie nasi przy wszystkich ważniéjszych sprawach pospołu śpiewali, mianowicie zaś rycerstwo przed rozpoczęciem bitwy, i po odniesionem zwycięstwie.

Choć nie każdy w książkach czytał, to jednak każdy wié, że dawniéj, to Tatarzy barbarzyńcy na ziemię naszą najazdy czynili, i co mogli, to niszczyli: lud niewinny rabowali, mordowali, wsie i miasta, i kościoły grabili i palili. Bywało to nieraz: aż strach o tem wspomnieć! W téj samej właśnie książeczce daléj, jest opisana jedna taka straszna, okropna historyja. Warto ją przeczytać, zapłakać i pomodlić się na uczczenie pamięci tylu ofiar niewinnie zamordowanych.

Prenumerata wynosi: w Warszawie rocznie rs. 1 kop. 80— półrocznie kop. 90 kwartalnie k. 45—miesięcznie k.
Na prowincyi, na wszystkich stacyach pocztowych bezkopert rs. 2.
Na prowincyi w kopertach, i w Cesarstwie, w którem prenumerata bez kopert nie jest dozwoloną, oprócz należności rs. za exemplarz pisma, każdy prenumerator dopłaca tytułem kopertowego nie po rs. 2 jak poprzednio, ale tylko po rs. rocznie
Dodaje się przytem, że w jednej kopercie Redakcyi Czytelni prenumerować można po kilka exemplarzy tegoż pisma bez żadnej dodatkowej dopłaty.

W drukarni J. Ungra. — Za pozwoleniem Cenzury Rządowej. — Warszawa dnia 28 Grudnia 1862 r.